

Jacek Wróbel

Życie i czasy Mistrza Haxerlina



Życie i czasy Mistrza Haxerlina
Copyright © Jacek Wróbel
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-155-0

epub ISBN 978-83-7995-156-7

mobi ISBN 978-83-7995-157-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl

Spis treści

Złoty interes	4
Manekiny i biurokraci	18
Kurtyna w górę!	18
Akt I	24
Akt II	43
Akt III	57
Problemy techniczne!	
Prosimy zostać na miejscach!	88
Akt IV	91
Akt V	106
Akt VI	119
Akt VII	141
Akt VIII	161
Akt IX	187
Kurtyna w dół!	198
Za kulisami	209
Rzeczy, które gasną	221
Człowiek o złych oczach	281
Splot	331
Tangen	331
Pusty śmiech	334
Rachmistrz	336
Większe Związanie Hatecrafta	338
Popiół, który opadł	340
Pierwsza nieć	342

ZŁOTY INTERES

Powoli zapadał zmierzch, a do życia budziła się mroczna, uśpiona dotąd strona lasu. Między drzewami zamajaczył cień jakiegoś zwierzęcia. I kolejny. Świetliki zataczały w powietrzu migoczące kręgi, Bo'akh-Bonthuzel kopał w wóz, a świerszcze cykały.

– Myślisz, że to pomoże? – zapytał Haxerlin, oganiając się od owadów.

– Nie odzywaj się do mnie, człowieku! – Stopa kolejny raz wylądowała na połamanym kole. – Na Kaosa, to wszystko twoja wina! Znowu!

Haxerlin nie chciał się kłócić. Po pierwsze również był zirytowany, więc po co denerwować się bardziej. Po drugie Thuz miał rację.

– „Nie będę wydawał sześciu srebrników na nocleg w Odwiecznym Sojuszu. Pojedziemy dalej i zatrzymamy się pod Głodomorem, tam liczą sobie tylko cztery” – zacytował kupca, waląc pięścią po pakunkach. – To dwa cholerne srebrniaki, ty skąpcu! Z powodu dwóch srebrniaków będziemy zmuszeni spędzić noc w lesie! Jak barbarzyńcy!

– Czterech – burknął Haxerlin. – Chyba że tym razem miałeś zamiar płacić za siebie.

Thuz obrócił się na pięcie.

– Przypomnieć ci postanowienia kontraktu? – syknął. – Ty wozisz mnie pośród swoich rupieci, ja nie sieję zniszczenia ani nie zabijam. Twoja pokraczna osoba również objęta jest

tymczasową protekcją. Tylko z dobrej woli pomagam prowadzić ten szemrany interes, więc siłą rzeczy należy mi się ciepły posilek i dach nad głową.

Powoli zbliżył się w stronę Mistrza. Złe oczy jedenastolatka zdawały się żarzyć piekielnym blaskiem.

– Na chwilę obecną nie ma ani wozu, ani miejsca w gospodzie... Jak myślisz, czy to precedens, który umożliwi drobne naruszenie Paktu o Przewoźnictwie i Nieagresji?

– Thuz, spokojnie, mam zapasowe koło.

– I co, będziesz je zmieniał po ciemku?

– Wypoczynek na świeżym powietrzu jeszcze nikogo nie zabił.

– Dokładnie, jeszcze – prychnął demon.

Kupiec rozejrzał się po okolicy.

– To dobre miejsce na obóz. Lepiej nazbierajmy chrustu, póki cokolwiek widać.

Grzali się przy ognisku, a gdzieś w oddali pohukiwała sowa.

– To nie pierwszy raz, kiedy spędzam noc w podobnych warunkach – odezwał się Haxerlin, chcąc przełamać krępującą ciszę. – Taki biznes. Nie zawsze się powodziło.

– A co mnie to obchodzi?

Racja – pomyślał handlarz.

Siedzieli w milczeniu, obserwując taniec płomieni. Zwierzyna, jeżeli jakakolwiek w ogóle kręciła się w pobliżu, wołała trzymać się w bezpiecznej odległości od ognia. Mistrz miał nadzieję, że w ciemnościach nie czają się istoty, którym łuna światła nie robiła różnicy.

– Od dawna zajmujesz się handlem? – zapytał demon.

– Zawsze miałem smykałkę do interesów. Oficjalnie zacząłem działać dopiero po studiach.

– Chciałeś powiedzieć „po tym, jak wyrzucili mnie ze studiów” – odpowiedział złośliwie Thuz.

Haxerlin przytaknął.

– Na początku pracowałem pod innym pseudonimem. Szkoła gadać, byłem młody i nie zważałem na ryzyko. W branży siedzę już ćwierćwiecze. Kawał czasu.

– Jak było na początku, kiedy ludzie nie kojarzyli twojego wydatnego brzuszyska i kramu ze szmelcem? Czułeś jakąś różnicę, poza tym, że na twój widok nie spuszczano jeszcze psów z łańcuchów?

Haxerlin poczerwieniał.

– Bez przesady. To, że raz byłeś świadkiem, jak uprzedzony motłoch daje ponieść się emocjom, nie znaczy, że...

– Raz? – Demon prychnął rozbawiony. – A sytuacja sprzed tygodnia, w Studzionce?

– Przecież żaden kamień nie sięgnął wozu! Nie liczy się! Zresztą – szybko zmienił temat – skoro pytasz, opowiem ci o starych czasach.

Gospoda Cztery Złote Pokoje była słynna na całą okolicę... głównie z tego, że swą nazwą po trzykroć wprowadzała w błąd potencjalnych klientów. Oferowała gościnę jedynie w dwóch pomieszczeniach, a wśród ciemnoszarej mozaiki kolorów próżno było szukać złota.

Wiele słów cisnęło się na usta przy próbach opisanie ich wystroju, ale najczęściej powtarzające się to „chlew”, „grota” i „ciemnica”. Stosowano też całą gamę mniej cenzuralnych określeń, na dźwięk których niejedna dziewczka okrywała się wstydliwym pąsem.

Tylko duża dawka wyrozumiałości pozwalała w ogóle zaklasyfikować gospodę do zaszczytnej kategorii zajazdów. Ale że karczma była znana, właśnie przed nią rozbił swój kram Mistrz Haxerlin.

– Do mnie, ludzie, do mnie! Cuda i Dziwy przybyły do Möhren! – nawoływał zza straganu, na którym dopiero co ulokował swoje skarby. Reszta osobliwości zalegała na pobliskim wozie, zajmując każdy dostępny kawałek przestrzeni.

Mistrz Haxerlin był niskim mężczyzną. Tak mógłby stwierdzić każdy, kto przeoczył fakt, że kiedy zachwalał towar, wchodził na drewniany podest, zyskując tym sposobem kilkanaście centymetrów. Bardziej spostrzegawczy zgodnie uznawali, że był bardzo niskim mężczyzną. Głowa, pozbawiona nawet odrobinki owłosienia, lśniła w pełnym słońcu niczym wypolerowana przyłbica. Łysina równie dobrze mogła być efektem ubocznym intensywnej pracy umysłu, jak i następstwem choroby skóry – tylko Mistrz Haxerlin znał prawdę, ale nie wyprowadzał z błędu nikogo, kto chciał przypisywać jego zerową fryzurę nadzwyczajnym walorom intelektu. Purpurowe szaty zachwycaly symbolami księżyca i klepsydry, wyszytymi srebrną nicią na tunice oraz fantazyjnymi kształtami dziwacznych spirali, jakie zdobiły zakończenia obszernych rękawów. Przywodziły na myśl odzienie czarodzieja, dlatego też Mistrz Haxerlin omijał szerokim łukiem większe miasta, by nie narażać się na krzywdzące miano hochsztaplera lub łgarza, jakim zwykli określać go prawdziwi adepci arkanów magii. Wołał ustronne wsie i miasteczka, takie jak Möhren, gdzie szansa na to, że ktoś zarzuci mu oszustwo, była bardzo niska.

– Zakosztujcie potęgi niezwykłości! Ochronne talizmany, relikwie bohaterów, eliksiry młodości, magiczny oręż, aromatyczne przyprawy! – Kupiec jednym tchem wymienił asortyment, kładąc największy nacisk na ostatni element – wychodził z założenia, że pieprz i sól nadadzą reszcie pozorów autentyczności. – Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina specjalnie dla was, najmils!

Przed straganem zgromadziła się całkiem spora grupa gapiów. Kilku mężczyzn szybko odeszło, pomrukując pod nosem, bo opacznie zrozumieli drugi człon nazwy i srogo się

rozczarowali. Ich miejsca długo nie pozostały puste – mieszkańcy Möhren byli łasi na wszelkiego rodzaju atrakcje, porzuciwszy od pożaru w obejściu sąsiada, a skończywszy na publicznej egzekucji. Wizyta handlarza egzotycznymi towarami plasowała się gdzieś pośrodku.

– Panie kupiec! – odezwała się jedna z kobiet, przepychając się przez gęstniejący tłum. – Trzymacie tam w kuferku jaki eliksir miłości?

Mistrzowi Haxerlinowi wystarczył rzut oka na klientkę, by domyślić się, że jedynym skutecznym środkiem umożliwiającym jej usidlenie mężczyzny byłyby wnyki na niedźwiedzia lub stalowe kajdany. Albo potężna porcja alkoholu, dawkowana oblubieńcowi regularnie i nad wyraz szczerze. Najlepiej w godzinach nocnych, by światło dnia – padające na twarz niewiasty – nie osłabiło mocy specyfiku.

– A jakże, dobra ko... – zawahał się, gdy klientka podeszła bliżej i ukazała się w pełnej krasie, jednak chęć zysku wzięła górę – ...kobietko. Mam napój specjalnie na taką okazję! Rozpali zmysły twego oblubieńca do czerwoności i zmieni go w niezrównanego kochanka, gotowego do miłosnych uniesień! – powiedział, po czym sięgnął do którejś z niezliczonych sakw zalegających na tyle wozu. – Proszę! Oto i jest! – Triumfalnie uniósł w górę butelkę, by każdy mógł dostrzec na szkle chaotyczne wzory, które wyrzył kilka dni temu. Potężnie wysilał wyobraźnię, by zakrzywione linie, heksagramy i pętle różnej wielkości układały się w coś, co przynajmniej od biedy można było określić „sekretnymi znakami”.

Tłum wydał z siebie pomruk aprobaty. Ludzie kiwali głowami z uznaniem, doceniając kunszt, z jakim naniesiono na naczynie mistyczne symbole. Mistrz Haxerlin uśmiechnął się; opłacało się zainwestować kilka monet w „Przewodnik po Sztuce Współczesnej Insirii”.

– Tylko trzy srebrniki, by opleść wybranka pnączem namiętności!

– Jeszcze mi pan kupiec powie – powiedziała kobieta, gdy odliczyła monety i zabrała butelkę, ciesząc się z interesu życia – ile kropel mam łać, by te pnącza dobrze trzymały!

Mistrz Haxerlin pogładził się po podbródku. Niezadowoleni klienci nie przysparzali mu renomy, więc dla pewności sięgnął po drugą flaszkę.

– Pierwszy chętny gotów zakosztować Cudów i Dziwów zostanie wynagrodzony darmowym egzemplarzem! – krzyknął donośnie, potrząsając okazałym brzuszyskiem. Księżyc na purpurowej szacie uwydatnił się. – Niech obiekt pani uczuć – handlarz wzdrygnął się w duchu na myśl o losie nieszczęśnika – wypije całą zawartość naczynia, a po półgodzinie przyjmie kolejną dawkę napoju miłości.

– Panie kupiec! – Niewiasta odkorkowała butelczynę i powąchała magiczny napój. – Toć to czarodziejstwo cuchnie jak gorzała!

– Powiem więcej! – uzupełnił prędko Mistrz Haxerlin. – Nawet tak samo smakuje! Mężczyzna sam się zniewoli kajdanami uczucia, pijąc znany sobie trunek!

Dziesięć minut później pozbył się ostatniej flaszki, bo zachęta podziałała nie tylko na spragnionych miłości, ale na wszystkich spragnionych czegokolwiek.

– Co żeś tam napchoł? – Przygarbiony chłop o twarzy tylko trochę mniej brudnej od odzienia przyglądał się ciekawsko płóciennemu workowi z dość wiernie oddanym konturem świniaka. Forma, w jakiej zadał pytanie, sugerowała, że zwroty grzecznościowe były mu obce. Podobnie jak higiena.

Sprzedawca niezwykłości zgarnął z lady okazały stos monet i wsadził go do szkatuły, będącej jedynym magicznym przedmiotem w okolicy. Gdyby jakiś złodziej próbował ją ukraść, byłby to ostatni niecny występki w jego karierze. Chyba że pod nową postacią rozsmakowałby się w innych formach przestępczości, zarezerwowanych dotąd wyłącznie dla myszy.

– Ach! – Haxerlin rzucił szybkie spojrzenie wieśniakowi. – To mieszanka specjalnie dobranych alchemicznych składników, po których trzoda nabiera krzepy, cudownym sposobem zwiększa masę, dając dwakroć tyle mięsa, ile dałaby bez czarodziejskiej ingerencji! Gdy zawitałem z tym towarem do Gettysheim, ludzie wyrywali sobie worki z rąk! Sprzedałem wszystko na pniu. Straż musiała pacyfikować oszalały z radości tłum!

Chłop milczał dłuższą chwilę, mrugając głupio oczami, jakby miało mu to pomóc w przyswojeniu informacji.

– Co żeś tam napchoł? – powtórzył, tyle że głośniejsze.

Mistrz Haxerlin zmienił taktykę, dostosowując się do oczekiwań klienta.

– Paszę dla świń – stwierdził po prostu.

Chłop podrapał się po skołtunionych włosach.

– A byndom to kury żreć?

– Będą – odparł handlarz. Jak kury zgłodnieją, to zezrą wszystko.

– I byndom duże?

– Byndo... To znaczy będą.

– Bo żeś tam magii napchoł? – zapytał z triumfalnym uśmiechem, tak jakby w końcu pojawił mroczną intrygę kupca.

– Eee... – stęknął Mistrz Haxerlin, zbity z tropu przebiegłością rolnika. – Tak. Wszystko, co oferuję, jest autentyczne! Szczególnie ta pasza! Tu akurat nie przesadzał. Magiczną właściwością mieszanki był fakt, że na targu kupował wór z paszą za dwadzieścia miedziaków i kiedy tylko kładł go na ladę Cudów i Dziwów, tajemniczym sposobem ten sam wór kosztował już dwa srebrniki.

– A to wyzme. Byde miał duże kury. – Klient wyszczerzył zepsute zęby i omiótł wzrokiem zbiegowisko, szukając zazdrosnych spojrzeń. Niczego takiego nie dostrzegł; posiadanie dużych kur najwidoczniej nie znajdowało się na liście priorytetów mieszkańców Möhren. Postępując, pospieszenie oddalił się od kramu, jakby dźwigał w worku co najmniej sztabki złota.

Do straganu podeszła – choć bardziej na miejscu byłoby stwierdzenie, że podpłynęła – elegancka dama w różowej, bufiastej sukni. Falbaniasty okręt sunął majestatycznie przez morze prostaczków, nie przejmując się, że pasuje do tej zgrai jak kot do cylindra. To znaczy teoretycznie kot może mieć cylinder, jeśli się uprze. Tylko po co?

Dama była elegancka w tym rozumieniu, w którym za przejaw elegancji uważa się dekorowanie fryzury małymi, świecącymi ozdóbkami, pobrzękującymi dźwięcznie przy każdym kroku. Wysoko upięty kok mieścił w sobie tyle świecidełek, że odpowiednio skondensowana i naprowadzona wiązka światła mogła oślepić lub wręcz wzniecić pożar.

– Mademoiselle Emehencjanna – rzekła teatralnie i zadarda głowę. Kilku najbliższych stojących ludzi zasłoniło oczy. Dzień był wyjątkowo słoneczny.

– Miło mi panią poznać. – Mistrz Haxerlin prawie położył się na ładzie, by sięgnąć ustami wypielęgnowanej dłoni, którą dama nadstawiała do ucałowania.

– Jah tyllho ushyszaham o pahńskieij wizhycie, niezwhocznie udaham się pod spehunę, htóhą zwą Cztehema Zhotymi Pohojami. Ciekawam, czy znahjdę tu coś do mohjej hohekcji.

– Czego konkretnie pani szuka? – spytał Haxerlin, chroniąc oczy przed blaskiem roztaczanym przez imponujący kok.

– Stwohów. Dehohuję sahon. Whie pan, whampihy, topiehce, strzyhgi. Mam jhuż smhocze shrzydła na ściahnie, dywhan ze shóhy ogha i hamphę z chhaszhi minhotauha.

Mistrz Haxerlin musiał dłuższą chwilę rozgryzać, czym jest „hampha z chhaszhi minhotauha”. Doszedł do wniosku, że nie chciałby, aby płonąca głowa minotaura oświeślała mu stronicę książki, kiedy relaksował się po pracy. Szybko zabrał się do poszukiwań, zanim zdążył wyobrazić sobie salon mademoiselle.

– Mam coś, co może panią zainteresować! – Haxerlin postawił na ładzie duży szklany słój i ściągnął cienką płachtę, która skrywała zawartość. – Oto łeb najprawdziwszego cen-

taura! – Pierwszy rząd gapiów cofnął się w przestרחu. Zewsząd zaczęły dochodzić na przemian jęki grozy i fascynacji.

W słoju pływała głowa mężczyzny. Mistrz Haxerlin przejechał go zupełnie przypadkowo, kiedy biedak leżał pijany jak bela na środku traktu. Kupiec znał się na marynowaniu ogórków, więc jedynym problemem było znalezienie odpowiednio dużego naczynia, by obrócić niefortunny wypadek na swoją korzyść.

– Całkiem podobny do Heinza! – zauważył ktoś przytomnie.

Tłum zaczął szemrać.

– Mówił, że do Weimburga idzie, szczęścia szukać.

– Gdzie tam! Pewno na koński sabat laź!

– Pożyczył kiedyś srebrnika i nie oddał, centaur jeden!

– Po picu zawsze rżał jak klacz. Złe z niego wyłaziło! *In vino veritas!*

– Znahomicie! – ucieszyła się różowa dama i aż podskoczyła z radości. Oślepiiony tłum stracił zapal do roztrząsania sprawy centaury Heinza, który przez wiele lat ukrywał naturę potwora pod maską miejscowego pijaczyny.

– Będzie idealnie homponował się z hominkiem. Phoszę go zapahować.

– Mistrzu Haxerlinie... – odezwał się nieśmiało ktoś z tylnych rzędów. Handlarz dobijał właśnie kolejnego targu, przekonując jegomościa z sumiastym wąsem, że Talizman Ochrony Przed Złem śmierzdi właśnie dlatego, by zło trzymało się z daleka, a podobieństwo medalionu do truchła rozkładającego się szczura to tylko fanaberia artysty.

– Tak, chłopcze? – rzucił krótko, gdy klient odszedł wreszcie z talizmanem na szyi.

Rozstępujący się przed nim tłum w stu procentach dowodził skuteczności artefaktu. Przy założeniu, że w każdym człowieku tkwił pierwiastek zła.

– Ja bym chciał... – Młodzieniec przestępował z nogi na nogę, niemal potykając się o przydługie nogawki. – Ja bym

chciał miecz. Magiczny. – Spuścił nisko głowę, jakby zawstydzony własnym życzeniem. – Uzbierałem trochę pieniędzy.

– Ha! To się dobrze składa, paniczul! – Haxerlin zatarł ręce, ciesząc się na myśl o opchnięciu rupiecia, który targał ze sobą już od wielu miesięcy.

Chłopak zadarł głowę, podejrzewając, że „panicz” to jakaś wyjątkowo nieprzyzwoita obelga, ale koniec końców postanowił zignorować zaczepkę.

– Śpieszno ci do wojaczki, co? – Kupiec zaśmiał się uprzejmie i wdrapał na wóz, przetrząsając kufry w najdalszym kącie, gdzie umieścił przedmioty spisane na straty. Niedługo miał je porzucić w przydrożnym rowie.

Młodzieniaszek pokraśniał i potrząsnął bujną blond czupryną.

– Tak, Mistrzu! Ferwor walki, ryk wojennych tręb... – Wciągnął głęboko powietrze, jakby wdychał gęste opary bitwy. Niestety, wąsacz z Talizmanem Ochrony Przed Złem nie odszedł zbyt daleko i przyszłego herosa lekko zemdlilo. – Dwaj odważni wojownicy, ścierający się w otwartym polu... – ciągnął rozmazonym głosem, gdy na powrót złapał oddech. – Ich pancerze pękają pod wpływem mocarnych ciosów wroga; nagie torsy lśnią w palącym słońcu, a krople potu spływają po naprężonych muskułach. Dawno stąpili ostrza mieczy, więc odrzucili bezużyteczną stal i walczą wręcz, patrząc sobie głęboko w oczy i koniuszkiem języka oblizując spierzchnięte wargi. Splatają palce niczym para kochanków, obejmują się w śmiertelnym uścisku. Spodnie krępują ruchy tancerzy zagłady, zatem czym prędzej pozbywają się resztek odzienia. Przesuwają dłońmi po atletycznych korpusach, szukając luki w obronie przeciwnika, by przygwoździć go do ziemi, by pokonać, by pojąć...

– Mam! – Mistrz Haxerlin, ściskając pod pachą kawał żelastwa, wygrzebał się z wozu. Ponieważ przebywał w jego wnętrzu, do jego uszu nie dotarła ta obrazowa przemowa. – Hej, synku, nie podwędziłeś mi aby jednego z Talizmanów Ochrony Przed Złem? – mruknął do siebie i zmarszczył brwi

na widok wolnej przestrzeni, jaka utworzyła się wokół chłopaka. Przejmująca cisza i grymasy półotwartych ust, zastygłe na twarzach mieszkańców Möhren wskazywały dobitnie, że byli świadkami wydarzenia, o jakim szybko chcieliby zapomnieć. – Oto miecz D’rankhana Wielkiego! – Kupiec wyraźnie zaakcentował personalia wymyślonego naprędce bohatera, by uzmysłwić gawiedzi, że tego miana nie zapisuje się ot tak, tylko używa do tego jakiegoś wyjątkowego znaku interpunkcyjnego, co czyni herosa jeszcze bardziej niesamowitym.

Oczy chłopaka zaświeciły jak złote korony, które dopiero co opuściły królewską mennicę. Z ust gapiów dobyło się wyraźnie słyszalne westchnienie podziwu – hołd złożony niezwyklej dokonaniom D’rankhana Wielkiego, które to każdy obrazował sobie indywidualnie w umyśle, w zależności od posiadanej wyobraźni.

Wzniesiony w górę oręż jeszcze kilka sekund temu był starym, pordzewiałym mieczem z ułamaną rękojeścią, ale stał się właśnie starym, pordzewiałym mieczem z ułamaną rękojeścią, którego onegdaj dobywał D’rankhan Wielki.

– Mistrzu Haxerlinie, nie wiem, czy będzie mnie stać na tak potężną broń... – zachlipał blondynek, nie spuszczać z oczu cennego artefaktu.

– Paniczu, bądź dobrej myśli! – rzekł kojąco handlarz, nachylając się nad straganem i zaglądając chłopakowi do sakwy, kiedy ten drżącymi palcami rozsupłał wreszcie rzemyk.

– Będzie tu...

– W sam raz, w sam raz – przerwał Haxerlin, nie czekając, aż młodzik skończy rachować monety. Zagarnął je razem z mieszkami. – Dałem ci mały upust, bo coś mi się widzi, że możesz być godnym następcą D’rankhana Wielkiego. Wspomnij no czasem starego Haxerlina, gdy wygrasz pojedynek z którymś z czempionów króla! – Twarz chłopaka rozjaśnił maślany uśmiech, a z jego piersi dobył się cichy pomruk zadowolenia. – Albo gdy zdobędziesz już serce księżniczki. – Kupiec mrugnął

porozumiewawczo, a pomrukiwanie ustało równie szybko, jak zniknął rozmarzony wyraz twarzy.

– Co tu jest wygrawerowane? – zainteresował się młody rycerz, dostrzegłszy na rękojeści pozostałości napisu.

– PiS – odczytał inskrypcję posiadacz imponującej baraniej czapki, który od pewnego czasu nachylał się nad ramieniem chłopaka i podziwiał fantazyjne kształty broni.

– Prawy i Sprawiedliwy – rozszyfrował w mig handlarz. – Kolejny przydomek naszego bohatera, jaki uzyskał podczas...

– A nie przypadkiem Pattersen i Synowie? – Ktoś z tłumu okazał się być nie lada światowcem, skoro kojarzył inicjały rodzinnego interesu kowali z północy. Szybko został jednak zakrzyczany przez ludzi, którzy dowodzili, że ich dziadkowie osobiście poznali D'rankhana i faktycznie kilka razy przedstawił się im mianem widniejącym na rękojeści.

Posiadacz magicznego miecza dumnym krokiem opuścił zgromadzenie, nawet nie spytawszy o właściwości artefaktu i o to, czy niemożność normalnego trzymania oręża, spowodowana złamaniem rękojeści, wliczała się w ich poczet.

Mistrz Haxerlin sprzedał jeszcze różnobarwne skałki, stanowiące niezawodny środek odstraszający wilkołaki (dawno nie widziano bestii w tych okolicach, ale na wszelki wypadek poinstruował nabywców, jak odpowiednio rzucać w nie kamieniami), chustę, którą ocierała twarz Błogosławiona Kapłanka Shafre (i tak musiał kupić nową, tamta była cała przepocona), i kilka mniej ważnych, ale nie mniej cennych drobiazgów.

Siedział teraz przy stoliku w Czterech Złotych Pokojach, tak bardzo usatysfakcjonowany przychodami, że nawet nie poczuł się oszukany nazwą przybytku.

– Karczmarzu! – zawołał, gdy dopił piwo. – Coś na ząb. Co polecacie?

– Boli was? – Zainteresował się siwy mężczyzna za ladą. – W Möhren nie ma cyrulika, nie przetrzymał zeszłej zimy. Ale

kował jest. Czasami nawet trzeźwy. – Pokiwał głową, jakby chylił ją przed kowalską abstynencją.

– Głodnym, karczmarzu, głodnym. – Handlarz przeczuwał, że przenośnia dla właściciela przybytku mogła być jakimś dziwnym urządzeniem do wodowania statków. W tym momencie pytanie, skąd zaczerpnął pomysł na nazwę lokalu, urosło do rangi niezgłębionej tajemnicy.

– To od razu było mówić – burknął szynkarz. – Zara co podam.

Niski mężczyzna w purpurowych szatach odchylił się na krześle, poklepując z zadowoleniem po pękatym brzuchu. To jest życie! Ciekawe, jakby się ułożyło, gdyby zaraz na początku działalności nie przybrał pseudonimu, pod którym znali go teraz mieszkańcy wielu wsi i miasteczek, zachwalając Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina wszędzie tam, dokąd dotarli.

Prawdopodobnie powiesiliby go pod prawdziwym nazwiskiem.

Haxerlin wystawił ręce do ognia, uśmiechając się do wspomnień.

– Ach, to były czasy! Spokój, szacunek u miejscowych, dobry zarobek... Świat się zmienia. Coraz trudniej o godne życie. – Zerknął na Thuza. – Czemu tak na mnie patrzysz?

Spojrzenie chłopca przepełnione było pogardą. Nawet kręcił głowę z niesmakiem, jakby towarzystwo kupca poczytywał sobie za osobistą obelgę.

– Wiesz, dlaczego nie przerwałem twojej opowieści?

– Bo była ciekawa i absorbująca? – zapytał z nadzieją Haxerlin.

– Nie, skończony głupcze! Zastanawiałem się, kiedy dotrze do twojego zakutego łba, że się powtarzasz. Przebadaj się,

śmiertelniku, bo albo masz kłopoty z pamięcią, albo celowo chcesz wzniecić gniew Otchłani!

Mistrz podrapał się po podbródku.

– Słyszałeś już tę historię?

– Na Kaosa, trzy razy! Ostatnio jakiś miesiąc temu, kiedy zapytałem, gdzie tu można kupić szałotrawie. I wiesz co? W dalszym ciągu nie mam pojęcia, jak ta bajęda łączyła się z narkotykami! – Rozmasował skronie. – Czasem doprowadzasz mnie do szaleństwa!

– Ale teraz pytałeś o początki działalności...

– Wyrażę się inaczej. Od czego to się w ogóle zaczęło? Zgaduję, że człowiek nie budzi się rano i nie stwierdza „a może by tak zacząć rozprowadzać fabrykowane artefakty”?

Kupiec spojrzał na niego z szelmowskim uśmieszkiem.

– To długa opowieść. Naprawdę jesteś ciekaw?

– Nie – odparł sucho demon, grzebiąc kijkiem między polanami. – Po prostu nie mam nic innego do roboty, a szybciej usnę, kiedy zaczniesz zanudzać mnie historyjkami z młodości. Tylko jeżeli zaczniesz od Möhren i tej durnej gospody, nie ręcę za siebie!

– Rozumiem. Zaczęło się jeszcze w Collegium. Wtedy odkryłem w sobie talent. Nie słyszałeś pewnie o Karlu Gustaffsonie i o tym, co go spotkało? To był przełom. Początek mojej drogi.